

W połatanych portkach

W gimnazjum odbywały się ze trzy wieczorki taneczne w czasie roku szkolnego. To było wreszcie coś, czego nie musiałem uczyć się od początku. Miałem dobrą wcześniejszą zaprawę, gdyż siostra wraz z koleżankami ćwiczyły tańce przy patefonie. Jako namiastka mężczyzny byłem rozrywanym partnerem do tańca przez dziewczyny przygotowujące się do światowego życia. Dla mnie tango, walc wiedeński, walc angielski, fokstrot, czy takie pospolite tańce jak oberek i polka nie miały większych tajemnic. No pod warunkiem, że na początku podglądałem kątem oka innych tańczących. Wtedy licząc w myśli rytm mogłem wobec partnerek udawać zaawansowanego w sztuce tańca.

Zabawy odbywały się w sali gimnastycznej. O wyznaczonej godzinie wpuszczano do sali tłum młodzieży nagromadzonej na dziedzińcu szkolnym. Wpadaliśmy tam hurmem, aby zająć dogodne miejsce. Dziewczęta ustawiały się wzdłuż długiego boku sali pod oknami, chłopcy naprzeciw, ale niezbyt ściśle przy ścianie. Chłopców bywało znacznie mniej niż dziewcząt. Mniejsza liczebność płci męskiej umożliwiała dość swobodne poruszanie się wzdłuż niewidocznej granicy rozdzielającej na pół salę gimnastyczną. Przed stłoczonymi pod ścianą dziewczętami paradowali po dwóch, trzech co rośniejsi młodzieńcy puszczając się swoimi granatowymi ubraniami, wyglansowanym obuwiem,

niektórzy pod krawatami zdobięcymi wykrochmalone koszule i sterczące jak chomąto białe kołnierzyki. Upatrywali zdobyrczy.

Gdzie mi tam do nich! Zajmowałem miejsce daleko za „donżuanami” oczekującymi na pierwsze dźwięki orkiestry dającej sygnał do ataku na spragnione tańca dziewczyny. Cóż mogłem zaprezentować swoją skromną osobą. Postury byłem dość nikczemnej, choć przykrótkie rękawy marynarki świadczyły o początku skoku rozwoju fizycznego. Nie była to jednak najważniejsza przyczyna ociągania się w ataku na przeciwległą stronę sali. Przyczyna tkwiła w spodniach (tylko bez nieprzyzwoitych myśli!), jedynych nadających się do noszenia w mieście na co dzień do szkoły, a na wsi od święta, do kościoła. Spodnie były pocerowane na siedzeniu tak intensywnie, że już dawno zanikł tam pierwotny materiał. Cerowanie spodni powtarzałem przynajmniej raz w tygodniu. Chociaż w posługiwaniu się igłą i nitką osiągnąłem niezwykłą sprawność, to odmienna faktura cer tworzyła na siedzeniu okularowe plecionki. Malowanie atramentem grubych nici lnianych, użytych dla zwiększenia trwałości cerowanego obszaru, przybliżało tylko kolor plecionki do granatowej barwy otoczenia.

Jak przejść przez środek sali bez zwrócenia uwagi na okulary na siedzeniu? Wszyscy przecież będą patrzeć na moje pocerowane siedzenie. Ćwiczenia odbyte wcześniej na stacji pod kontrolą kolegów upewniły mnie, że

przyjęcie nawet skrajnie przeprostnej pozycji tułowia nie obniża tyłu marynarki poniżej górnego zarysu pocerowanych obszarów. Pewne pozytywne wyniki maskujące dawały ręce założone do tyłu ze skrzyżowanymi dłońmi na wysokości siedzenia. Metoda zawiodłaby niechybnie przy zapraszaniu partnerki do tańca, wtedy przy skłonie ujawniłyby się kompromitujące okulary. Poza tym nikt przecież nie będzie tańczył z założonymi do tyłu rękami. Taka pozycja może byłaby do przyjęcia w przyszłości, a spodnie z przetartymi dziurami na siedzeniu uczyniłyby ze mnie prekursora mody. W owych czasach tańczyło się parami, a ręce służyły do obejmowania partnerki.

Pozostało mi oczekiwanie na przewalenie się pierwszej fali atakujących kolegów i pomiędzy już tańczącymi parami precyzyjnie się do przebranych resztek dziewczęcych. Nie przyszło mi do głowy, że wszyscy i tak byli zajęci ważniejszymi sprawami niż oglądaniem mojego siedzenia. Zacerowane dziury na łokciach nie zajmowały jakoś mojej uwagi.

Ideologiczne wahnięcia

W porywach młodości miałem kilka wahnięć ideologicznych. To opowiadałem się za ustrojem sprawiedliwości społecznej, to odzywał się we mnie duch reakcjonisty. No może nie reakcjonisty, a duch rewizjonisty. Czyli byłem osobnikiem chwiejnym, jak przystało na syna średniorolnego chłopa.

Obowiązywał wtedy podstawowy kanon ideologiczny dzielący chłopów na dwie podstawowe grupy: chłopów małorolnych, czyli postępowych i z natury swego urodzenia oddanych władzy ludowej, i chłopów bogatych, zwanych z sowiecka kułakami. Między tymi grupami chłopów plasowali się chłopci średniorolni, którzy według obowiązujących poglądów byli chwiejni i nie wiedzieli, czy mają się opowiedzieć za władzą ludową, czy też pójść na lep kułackiej reakcji. Stan posiadania wyróżniający kułaków od średniorolnych zależał od widzimisie miejscowych przedstawicieli władzy ludowej. Ale najcenniejszymi i najbardziej hołubionymi przez ideologów władzy byli chłopci bezrolni. Że nielogiczne jest istnienie chłopów bezrolnych? A kto twierdzi, że ta ideologia była logiczna?

Moja ideologiczna chwiejność objawiła się przejściem z jedynie słusznych pozycji stronnika władzy ludowej w pierwszej klasie szkoły średniej (wstąpiłem nawet do ZMW, a może do ZWM – to tylko przestawienie liter) na pozycje oportunistyczne w klasie drugiej, którą w wyniku reformy szkolnictwa nazwano klasą dziewiątą, bo na wzór przodującego szkolnictwa radzieckiego wprowadzono jedenastolatkę.

Jedną z przyczyn utraty zaufania do nowego ładu była zdobyta umiejętność czytania po rosyjsku. Wtedy nie istniały jeszcze polskie podręczniki do nauki języka rosyjskiego. Nam służył rosyjski podręcznik pt.: „Russkij jazyk”, jeśli mnie pamięć nie myli, przeznaczony dla ichniej, sowieckiej, trzeciej klasy

szkoły podstawowej. Były tam czytanki głoszące wielkość ustroju stworzonego przez Lenina i Stalina i zachwyty ludzi radzieckich nad osiągnięciami budownictwa socjalistycznego. Ale mimo tych osiągnięć zawsze była niezbędna czujność wobec krowań wrogów ludu. Taką czujnością, godną naśladowania, wykazał się w czasach rozkułaczania wsi Pawka Morozow. Ten dzielny chłopiec doniósł do CzeKa, a może GPU, że jego ojciec ukrył zboże przed łaknącą chleba klasą robotniczą. W wyniku tego donosu słusznie ukarano rodziców Pawki, jako wrogów ludu. Nie pamiętam czy zesłano na Sybir, czy może skazano na śmierć. I tak by zmarli z głodu. Pawka nie tylko uratował swe dobre imię i nie został napiętnowany statusem potomka „wrogów ludu”, ale stał się wzorem rewolucyjnej czujności dla komsomolców. Historia milczy o podobnych przykładach patriotyzmu w przyszłości, bo zapewne taki wzór zachowań na tyle spowszedniał w życiu ludzi radzieckich, że już nie było potrzeby go propagować. Czytankę o Pawce przeczytałem z własnej i nieprzymuszonej woli, gdy posiadałem w wystarczającym stopniu umiejętność składania bukw. Bo profesorka jakoś ominęła tę opowieść. Czy zawarte w niej treści nie odpowiadały jej rozumieniu świata? Pochodziła z prawosławnej rodziny rosyjskiej zasiedziałej w Miechowie od zaborów.

Niezwykłość czynu Pawki zostawiła we mnie osad niechęci do bohaterów radzieckich. Niechęć przeniosła się na kolegę ze starszej klasy, który zachwycał

się bezkompromisowością młodego bohatera radzieckiego. Niechęć pogłębiła się za przyczyną pewnej piękności z klasy. Piękność ta pozwalała nosić teczkę z książkami piewcy czynu Pawki Morozowa, a nie mnie.

Wyjaśnienia wymaga mój wybór nauki języka rosyjskiego. Kiedy rozpoczynałem nauki gimnazjalne, rosyjski nie był jeszcze obowiązkowym językiem obcym. Można było wybrać również język angielski lub francuski; niemieckiego nie było, napawał wstrętem. Moja klasa wybrała rosyjski. Raczej rosyjski wybrała naszą klasę. Ponieważ nikt w szkole nie zgłosił ochoty do nauki tego języka, to tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, naszą klasę nawiedził dyrektor z profesorką od rosyjskiego (w przyszłości otrzymała przydomek „Imia” – z przyczyny zadawanego pytania: „Kak twajo imia?”) i wyraził zadowolenie, że właśnie my będziemy się uczyć języka rosyjskiego. Tak się jakoś złożyło, że w klasach z językiem angielskim i francuskim znajdowali się przeważnie uczniowie miastowi.

Powróćmy do wahań ideologicznych. Przejście na pozycje anty objawiło się żądaniem od profesorki historii prowadzącej również lekcje nos (nauka o społeczeństwie), a może nop (nauka o Polsce i świecie współczesnym), przyznania, że pakt Ribentrop – Mołotow był decyzją o czwartym rozbiore Polski. Profesorka od historii nie przyznała. Podejrzewać można, że niewiele wiedziała o takim pakcie, a może tylko udawała. Ten fakt historyczny przybliżył

nam kolega Gurbiel podkreślając swoim twardym „er” nędzną rolę ZSRR: – „Pakt Rribentrrop – Mołotow to był czwarrtry rrozbiórr Polski. Sowieni wbili nam nóż w plecy”. Wraz z kilkoma kolegami solidaryzowałem się z taką interpretacją tego niezwykłego odkrycia historycznego. Profesorka uciekając od śliskiego tematu nakazała używanie nazwy Związek Radziecki, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, czy skrótu „ZeteSeReR”, a nie wręcz obraźliwego przedwojennego określenia „Sowieni” lub „Związek Sowiecki”.

Potem solidaryzowałem się z jugosłowiańską drogą do socjalizmu wytyczoną przez Tito, a wyklętą przez kominform ze Związkiem Radzieckim na czele. Wprawdzie nie wiedziałem na czym ta droga polega, ale ważne, że była inna niż nakazywał Stalin. Wyklęty przywódca Jugosławii długo miał swoje miejsce w prasie i radiu. Oprócz karykatur w prasie przedstawiających Tito z ociekającym krwią toporem w ręku, pewnie od mordowania swoich towarzyszy rewolucjonistów (skazano ich kilku na karę śmierci), odszczepieniec ten był bohaterem różnych piosenek. Jedną z nich przedstawiał teatrzyk wojskowy, jak się sam nazywał: „Artystów ze spalonego teatru”. Zapamiętałem refren: „Ale tu jeszcze jest pan Tito, / który powiada, że niby to / podpisać in blanco / czekały dla Franko; / z Hiszpanii kolonię zrobić chce!”. Refren był przerywnikiem między różnymi zwrotkami ośmieszającymi Wall

Street, kapitalistów, i różnej maści rewizjonistów. Określenie: „różnej maści” pozostało na dziesięciolecia w języku propagandy i miało podkreślić nikczemność tych osobników. W totalitaryzmie istnieje prawidłowość: nic nie wywołuje takiej nienawiści jak niewielkie odchylenie od objawionych zasad. Stalin objawił zasady dla komunistów, i komuniści wyznający te same zasady, ale z przestawionym w inne miejsce przecinkiem, byli zwalczani bardziej intensywnie niż zdeklarowani przeciwnicy z tak zwanej drugiej strony barykady. Nic nowego pod słońcem. To było przerabiane już od wieków. Ilu chrześcijan spalili chrześcijanie na stosach, bo nieco inaczej rozumieli Boga?

Zaczepek słowne w czasie lekcji były tylko akcentowaniem niezadowolenia z faktów zaistniałych. Marzeniem był czyn. I takim chwalebny czynem miało być zrywanie plakatów bodajże przed wyborami do rad narodowych. Wymyśliliśmy to z Heńkiem, nieco starszym współlokatorem ze stacji. Plakaty były sygnowane przez Front Narodowy (przygotowywał wszystkie imprezy zwane wyborami za czasów zwanych stalinowskimi, a od czasów Gomółki czynił to nadal, zmieniawszy nazwę na Front Jedności Narodu). Heniek był synem zamożnego chłopca spod Raławic, czyli zgodnie z nomenklaturą stosowaną przez władzę ludową, był synem kułaka. Już za sprawą swego urodzenia musiał być reakcyjnym przeciwnikiem ustroju zwanego, póki co, demokracją ludową.

W połowie tygodnia rozklejono plakaty chwalcące kandydatów Frontu, bo w niedzielę cały naród ma iść do urn wyborczych by zmanifestować. Nie miało sensu rozklejanie plakatów wcześniej. Ludzie mogliby zapomnieć co na nich napisane, choć i tak nikt ich nie czytał. Wybory odbywały się chyba w grudniu, ale wieczór był wilgotny i dżdżysty. Pod osłoną nocy, jak na konspiratorów przystało, wyszliśmy z Heńkiem zrywać plakaty oblepiające ściany domów otaczających rynek i sąsiednie co główniejsze ulice. Heniek w lewo rynku, ja w prawo. W osłoniętym miejscu od mdłego, żółtawego światła lamp zmatowionego jeszcze mżawką, przystanąłem przy plakacie. Odklejenie go od ściany nie stanowiło żadnego problemu. Klej z mąki, zapewne żytniej a przez to słaby, nie zdążył wyschnąć w wilgotnym powietrzu na mokrych ścianach. Odklejone płachty papieru osuwały się bezszelestnie na ziemię. Moją emocję wzmacniała obawa, że ktoś może usłyszeć głośnie bicie serca i tętnienie krwi w mojej głowie. Wkrótce strach minął. Miasto było całkiem puste, żadnego przechodnia, pewnie z powodu pogody, i pewnie z tej samej przyczyny nigdzie nie czaili się milicjanci czy ormowcy. Udało mi się w ciągu godziny usunąć większość plakatów z mojej części rynku i ulicy Raławickiej, prowadzącej do naszego gimnazjum. Po wykonaniu tego zbożnego dzieła powróciłem do domu deptając po drodze płachty papieru wzywające do głosowania na Front Narodowy. Z ciekawości sprawdziłem rejon działania Heńka. Ściany domów były

wytapetowane plakatami, na chodniku leżało ich tylko kilka. Pewnie go złapali! Wystraszony pobiegłem do domu, wcześniej obmywając ręce pod pompą na podwórzu aby usunąć dowód rzeczowy przestępstwa przeciw władzy ludowej w postaci resztek kleju z żytniej mąki. Może w domu jest kot – pomyślałem używając wyczytanego okupacyjnego słownictwa. Kota nie było. Tylko Heniek roztrzęsiony czatował przy wejściu. Zatrzymał mnie w przedpokoju, żeby nie podsłuchali śpiący stacyjni koledzy.

Musiał przerwać sabotaż i uciekać bo ktoś do niego krzyknął: „Stój!” Potem będąc już w bramie usłyszał strzał i prawie został zabity, no prawie zraniony w ramię. Na dowód pokazał swą kurtkę skórzaną (przedmiot jego dumy, a zazdrości kolegów) z zadrażnieniem na rękawie. Oczekując nocnego aresztowania przedzemałem jakoś do rana. W świetle poranka, o dziwo słonecznego, znikły nocne strachy.

W drodze do szkoły rozczarowanie – na chodnikach ani śladu zerwanych plakatów. Pojedyncze nowe plakaty na ścianach domów, a może przeze mnie przeoczone, wzywały nadal do głosowania. Naród nie dowiedział się o istnieniu tajnej organizacji. Od dziś już jednoosobowej. Heniek zawiódł moje zaufanie. Bo z tym strzelaniem to zmyślenie ze strachu. Przeprowadzona praca myślowa doprowadziła mnie do przekonania, że skrewił. Podejrzenia potwierdziła wizja

lokalna: z futryny drzwi w skrzydle bramy wjazdowej na nasze podwórze wystawał gwóźdź. Heniek pewnie o niego zahaczył rękawem kurtki.

Wkrótce, tuż po feriach zimowych, dawniej zwanych świątecznymi, Heniek nie wrócił na stację. Zamieszkał w bursie. Jego ojciec z dnia na dzień przestał być wrogim kułakiem i założył spółdzielnię produkcyjną w swojej wsi pod Raławicami, został jej przewodniczącym. Heniek stał się wkrótce ważnym działaczem powiatowym dopiero co powstałego ZMP. Piął się po szczeblach młodzieżowych i partyjnych, a po latach dotarł do szczebla partyjnego szefowania jednemu z kilkudziesięciu województw.

Doświadczwszy tak wielkiego zawodu ze strony współkonspiratora poddałem się, według obecnych określeń, emigracji wewnętrznej. Na tej emigracji odkryłem poezję, inną niż ta rewolucyjna deklamowana na akademiach „z okazji i ku czci”. Zafascynowały mnie wiersze Tuwima, te miłosno-erotyczne. Działały na dojrzewającego chłopca. Przeczytałem wszystkie zbiory znajdujące się w bibliotece miejskiej. Aż trafiłem na „Bal w operze”. „Bal” zburzył idealistyczny ogląd świata i zniszczył mity. Porzuciłem emigrację.

W roli propagandysty

Powrót z emigracji wewnętrznej objawił się przejściem na pozycje kolaboracji – tak można nazwać nowe wahnięcie. Wahnięcie zastało mnie w

przedostatniej klasie szkoły średniej, czyli w klasie dziesiątej. Był to protest dorastającego młodzieńca przeciw zastanemu oportunizmowi. Przeciw tym z „Balu w operze”. Trzeba budować nowe społeczeństwo. Nie oznaczało to bezkrytycznego poparcia władzy ludowej, która głosiła teoretycznie słuszne idee, choćby nauka dla wszystkich, i dzieci chłopskich też (to przecież dla mnie!), ale bardzo nieudolnym językiem. My młodzi i wykształceni potrafimy przekonać społeczeństwo do „nowego”, tylko musimy wyzwolić się z drętwej mowy „Notatnika agitatora”.

Okazja do wykazania się umiejętnością przedstawienia ludzkim językiem osiągnięć władzy ludowej nastąpiła z nienacka i była związana z akcją popularyzowania osiągnięć nowego ustroju na polu sportu wiejskiego. Profesor od wuefu potrzebował ochotników do wygłoszenia „w terenie” prelekcji na temat „osiągnięć władzy ludowej w rozwoju sportu na wsi”, bo właśnie KC nakazał pogłębić pracę ideologiczną na polu fizykultury i sportu. Sądzę, że profesorowi od wuefu przydzielono takie zadanie w ramach uaktywnienia politycznego.

Uznałem, że aktywność społeczna oprócz wkładu w tworzenie „nowego” stanie się ozdobnikiem mojej opinii tak niezbędnej do przyjęcia na studia. Otrzymałem zadanie uświadomienia mieszkańców jakiejś wsi, nie pomnę już jej nazwy, o: „dotychczasowych osiągnięciach władzy ludowej na polu sportu i

perspektyw ich (osiągnięć) dalszego rozwoju ze szczególnym uwzględnieniem wsi, tak zacofanej w tym względzie z powodu zaniedbań burżuazyjnej władzy w Polsce przedwrześniowej”. Profesor mało obeznany z metodami upolityczniania wuefu rozdał ochotnikom „Notatnik agitatora” i zalecił skorzystanie z odpowiednich artykułów, które się ukazały ostatnio w gazetach „na bazie i po linii” wcielania ideologii socjalistycznej w sporcie wiejskim.

Postanowiłem, że mój referat będzie tchnął świeżością, bez sloganów, bez czytania z kartki. Zasięgnąwszy od kolegów języka, gdzie ta łaknąca mojej wiedzy wieś się znajduje, przemierzyłem pieszo w najbliższą niedzielę te marne osiem kilometrów w jedną stronę. Zgłosiłem się do sołtysa przedstawiając pełnomocnictwa do szerzenia oświaty sportowej w ramach akcji zainicjowanej przez KC. Sołtysowi udało się złapać na drodze kilka starszych kobiet i kilkoro dzieci wracających z kościoła, oraz jednego mężczyznę przechodzącego przypadkiem obok remizy i mającego interes do sołtysa. I ci złapani mieli być słuchaczami tchnącego świeżością referatu politycznego o sporcie.

Świeżość mojego wystąpienia znikła po kilku wydukanych zdaniach i z rozpaczą odczytałem odpowiedni rozdział z „Notatnika agitatora”, który na szczęście przypadkowo zabrałem z sobą. Słuchaczy to ani ziębiło ani grzało i pewnie nie wiedzieli o czym ten smarkaczowaty młodzieniec mówi.

Gorycz porażki w roli propagandyisty miało mi osłodzić zdobycie ciekawego materiału, jak to się wtedy mówiło „z terenu”, nadającego się na doskonały artykuł do „Dziennika Polskiego”, bo od dwu lat pełniłem zaszczytną rolę korespondenta terenowego tej gazety. Do tej pory piętnowałem „na łamach” różne nie załatane dziury w chodnikach, lub nieestetyczne dla oka i nosa odchody końskie zalegające po wtorkowych jarmarkach na rynku i przyległych ulicach miasta, jak by nie było stolicy powiatu. Za dwuzdaniową notatkę piętnującą brak oświetlenia długiego i wyboistego korytarza prowadzącego do sali kina, mieszczącej się w refektarzu dawnego klasztoru Bożogrobców, naraziłem się na szykany ze strony kierownika kina w postaci czasowego zakazu wpuszczania mnie na seanse filmowe. Z tego powodu straciłem bezpowrotnie okazję do oglądania kilku wytworów przodującej kinematografii radzieckiej.

Teraz zebrałem materiały do prawdziwego artykułu, któremu nadałem piękny tytuł: „Zapomniana wieś”. O zapomnieniu tym świadczy wysoki odsetek analfabetów zwłaszcza wśród dorosłego społeczeństwa żeńskiego. Dla ubarwienia opowieści zamieściłem wypowiedzi staruszek, które ubolewały nad swoim analfabetyzmem (rozmawiałem tylko z jedną, która zapytała: „Po co synku po wsiach chodzisz w święty dzień?”) i wyrażały nadzieję, że władza ludowa nauczy je czytać i pisać. Tylko dzięki sołtysowi ludzie wiedzą co piszą w

gazetach, i który to (sołtys), mimo swych licznych obowiązków, znajduje czas na czytanie Dziennika Polskiego łaknącym wiedzy o świecie. A dzieje się to nadal przy lampie naftowej. Dlaczego kazałem sołtysowi czytać przy lampie naftowej a nie karbidówce? Karbidówka dawała jaśniejsze światło i nie pasowała do mroków analfabetyzmu. O zelektryfikowaniu tej wsi zapomniano! Mimo, że wieś wywiązuje się przed terminem z obowiązkowych dostaw płodów rolnych i żywca. Tu napiętnowałem terenowe organy władzy, powołując się na Lenina, że „socjalizm to władza ludu plus elektryfikacja” (socjalizm eto sowietskaja własť plus elektriczesstwo). Poniosło mnie, i napisałem że chłopci w tej wsi radzą nad spółdzielnią produkcyjną. Było to zgodne z prawdą. W każdej wsi powszechnie „radzono” jakie znaleźć wybiegi by uniknąć kołchozów i przetrwać nie narażając się na złośliwą niełaskę władzy.

Niestety ten wiekopomny artykuł został bezlitośnie obcięty do kilkunastu zdań. Nie opublikowano rozważań o analfabetyzmie. Zostałem wprowadzie usatysfakcjonowany zamieszczeniem pełnego imienia i nazwiska, a nie jak dotychczas tylko inicjałów. Przyczyną usunięcia rozważań o ciężkim życiu analfabetów w tej wsi była sprawa wagi państwowej: na pierwszej stronie gazety stało napisane tłustym drukiem, że właśnie w Polsce zlikwidowano analfabetyzm. Nadwąliło to wiarę w słowo drukowane, a także sens mego powołania do pracy dziennikarskiej. W niedalekiej przyszłości „zrządzeniem

losu” dylemat powołania do tego zawodu został rozwiązany: nie przyjęli mnie na dziennikarstwo. Znając ułomność natury ludzkiej, los uchronił mnie przed powiększeniem grona piewców ustroju.

Zrządzenie losu wcieliło się w młodego, gniewnego zetempowca, czynnika politycznego w komisji egzaminującej na studia. Otóż ów młody gniewny obarczył mnie odpowiedzialnością za oportunizm ojca – bo nie przystąpił do spółdzielni produkcyjnej. Zapewniałem, że ojciec mimo chwiejności cechującej średniorolnego chłopa, stanie się z pewnością członkiem spółdzielni, natychmiast jak tylko taka na wsi powstanie. Pracuję nad nim ustawicznie i na pewno osiągnę sukces – bujałem jak z nut. Czownik polityczny zarzucił mi niewiedzę dotyczącą rodzinnej wsi, gdyż według dokumentu, który przed nim leży, w mojej wsi powstała spółdzielnia produkcyjna już w zeszłym roku. Nieopatrznie podważyłem wiarygodność dokumentu. Czownik zrobił minę człowieka wzywającego pomsty z nieba, mimo że pewnie był niewierzący. Jak można wątpić w to co podały na piśmie czynniki partyjne? I miałem przechłapanie. Nie przyjęto mnie na studia „z powodu braku miejsc”.

Ideologiczne wahadło zatrzymało się w pozycji obojętnej. Zająłem miejsce w łoży szyderców. Wstrząsy, którymi historia obdarzała obficie moje pokolenie, skłoniły do opuszczenia tego wygodnego miejsca.

